

ZIMA W PAWLIKOWICACH.

2558

NASZE ŻYCIE

MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY DLA MŁODZIEŻY ZAKŁADÓW WYCHOW. TOW. „POWŚCIĄGLIWOŚĆ I PRACA“ POD REDAKCJĄ KS. E. TOMZY.

2509

NUMER 1. MARZEC ROK 1936.

HASŁO MŁODYCH!

Każdego poranku, zaraz po ocknieniu się ze snu, powiedz do siebie: młody jestem, a więc mam jeszcze porę do nabycia nauki, cnoty, do zabawy, a stąd do zapewnienia sobie szczęścia. Ale czas szybko i bez powrotu ubiega, nuż tedy co prędzej na to wszystko dobro moje pracować.

JÓZEF JEŻOWSKI.

TREŚĆ MIESIĘCZNIKA:

DRUKOWANO JAKO RĘKOPIS.

Drukarnia „Powściągliwość i Praca”, Kraków, ul. Kazimierza Wielkiego 95.

Rok XIII Nr. 1.

MARZEC

1 9 3 6.

NASZE ŻYCIE

MIESIĘCZNIK MŁODZIEŻY ZAKŁADÓW WYCHOW. TOWARZYSTWA „POWŚCIĄGLIWOŚĆ I PRACA“ POD REDAKCJĄ: KS. EDWARDA TOMZY.

Zakład Wychow. Pawlikowice p. Wieliczka.

Konto czekowe: P. K. O. 404.854.

Telefon 54.

Nasze Życie

Taki tytuł naszego pisemka, które, po przerwie, wyjrzało znów na świat.

A skądże ten tytuł? — właśnie życie nasze narzuciło nam go z nieodpartą koniecznością.

Poprostu uważamy, że treść i formy życia, jakie stworzył wielki Założyciel Zakładów Wychowawczych Tow. „Powściągliwość i Praca“ zasługują na to, aby znalazły wyraz w specjalnym organie.

Każde pisemko, aby nie było tylko objawem grafomaństwa, musi mieć wyraźne cele i przyczyny, dla których powstaje.

Otóż celem „Naszego życia“ jest zbliżenie do siebie wszystkich wychowanków Zakładów Wychowawczych Towarzystwa „Powściągliwość i Praca“.

„Nasze życie“ otwiera gościnnie podwoje kart swych dla myśli i uczuć wychowanków, kształcących się we wszystkich zakładach Towarzystwa.

Drugim celem pisemka to pragnienie popularyzowania aktualnego życia młodzieży zakładowej wśród młodzieży polskiej, a i starszego społeczeństwa.

Wreszcie jako podstawowy cel przyjmuje redakcja popularyzowanie myśli, zawartych w pismach ks. Bronisława Markiewicza.

Wobec myśli Założyciela czują się wychowankowie poważnie zadłużeni, nie wystarczy wedle wskazań Jego siebie samych kształtować, ale należy ją szerszemu ogółowi przypominać.

Każde pisemko, którego żywot ma być trwały, musi rozporządzać materjałem.

Od jakości tego materjału zależy w głównej mierze wartość pisemka.

Po ten materjał sięgnęła redakcja do myśli i uczuć wychowanków.

Oni w „Naszem Życiu“ głównie pisać mają i o nich pisać należy!

Możnaby wysunąć wątpliwości, czy będzie to wystarczający materjał... na lata.

A jednak, po namyśle, odpowiedzieć należy twierdząco.

Życie wychowanków Zakładów Tow. „Powściągliwości i Pra-

ca“ posiada wybitne cechy odrębności.

W swobodzie, w pracy fizycznej i umysłowej, gimnazjaliści obok rzemieślników, urastają wspólnie w atmosferze zdrowej idei do zadań życiowych.

W tem migawkowem streszczeniu życia, jak w zalążku, dopatrzeć można się zdrowia moralnego i fizycznego wychowanków, prawdziwego zbratania zawodów, tak ważnego dla równowagi i prawdziwej harmonji społecznej.

W przekonaniu, że zdrową jest młodzież, która pisać będzie na łamach skromnego naszego pisemka, a w konsekwencji, że i myśli i uczucia jej przedstawiają realną wartość, mimo ciężkich warunków finansowych Zakładów, podejmujemy się trudu wydawniczego.

Niech „Nasze Życie“ idzie w świat, by służyć: „Prawdzie, Dobru i Pięknu“.

Kazet.

Ks. Markiewicz — a moje powołanie

Po ukończeniu w 1906 r. gimnazjum i zdaniu matury w Wilnie, jako dalszy przedmiot studjów obrałem medycynę. Wtym celu wniosłem podanie do Moskwy, gdzie medycyna podobno stała dość wysoko. Cóż, kiedy kandydatów wówczas było więcej, jak miejsc. Tuż przed rozpoczęciem roku szkolnego otrzymuję zawiadomienie, że jestem przyjęty, ale na wydział prawniczy, o co się wcale nie ubiegałem. Coprawda nie brakło kandydatów, którzy przy pierwszem zetknięciu się z medycyną nabierali nieprzezwyciężonego wstrętu do tej szlachetnej wiedzy i uciekali na wydział prawniczy. Otóż drogą zamiany nieprzyjętym na medycynę udawało się często dojść do upragnionego celu. Nie chciałem jednak ryzykować i zostałem w Wilnie. Przyjaciel mój serdeczny i odnowiciel związku filareckiego w Wilnie Józef Zmitrowicz zagadnął mnie przy spotkaniu, co myślę z sobą robić, czy jadę na dalsze studja, a gdy powiedziałem mu, że zostaję w Wilnie — zaproponował mi objąć posadę wychowawcy w małem Seminarjum, założonem z inicjatywy władz duchownych, bez wiedzy i pozwolenia władz rosyjskich. Wychowankami były przeważnie dzieci włościańskie z całej Wileńszczyzny, które miały tu przygotować się do wymaganych egzaminów, aby wstąpić następnie do Seminarjum duchownego. Zadaniem takich zakładów było uchronić młodzież przed demoralizacją, na jaką narażoną była, mieszkając na przygodnych stancjach, bez opieki i kierunku wychowawczego. Z niezwykłem poświęceniem przez lat kilkanaście prowadziła tego rodzaju zakłady p. Waltzówna. Sama



Ks. Bronisław Markiewicz.

jednak nie mogła sprostać temu zadaniu. Zakłady te na dobre rozwijać się zaczęły dopiero po objęciu ich przez takiego wychowawcę, jakim był wspomniany mój przyjaciel. Propozycja jego nie wydała mi się zbyt pociągającą, bo do tego rodzaju pracy nie miałem wielkiej ochoty, gdyż dotychczasowe moje doświadczenie pedagogiczne, nabyte w szkole zaborczej, nie mogło zachęcić, chciało się uciekać jak najdalej od tego warsztatu udręki. Zgodziłem się jednak spróbować. Otrzymałem około 20-tu uczniów, z którymi zabrałem się do pracy. Prędko przekonałem się, co można zrobić, pracując nad młodzieżą w duchu filareckim, chociaż praca ta, prowadzona tajnie przed władzami zaborczemi, była niebezpieczna. Mieliśmy nieraz po kilka rewizyj policyjnych miesięcznie. Malcy jednak doszli do takiej wprawy w ukrywaniu polskiej bibljoteki lub tajnego pisemka, które redagowaliśmy, że podziwiać to musieli nawet policjanci.

Nie zapomnę np. takiej sceny. Postanowiliśmy odegrać kilka fragmentów z III części „Dziadów“. W niedzielę, po śniadaniu, urządziliśmy generalną próbę. Po wyczerpującej improwizacji więźniowie na głos „runt dzwoni!“ rozbiegają się, ale w tejże chwili słyszymy naprawdę dzwonek i dobijanie się do drzwi zupełnie autentycznego policjanta. Tylko dzięki przytomności umysłu aktorów nie doszło do katastrofy.

Po roku tego rodzaju pracy wyjechałem na studja lekarskie, ale już nie do Moskwy, tylko do naszego kochanego Krakowa. Atmosfera, jaka się wy-

tworzyła po rozgromie wielkiej Rosji przez małego, ale dzielnego Japończyka i po ciężkim wstrząsie, wywołanym rewolucją w r. 1905, pozwalała widzieć w duchu Polskę wyzwoloną i budziła zapał do pracy dla niej. Z zamiłowaniem oddałem się medycynie, poprzednia jednak praca wychowawcza zawiele mi urwała serca, żebym mógł o niej zapomnieć. Zdecydowałem się przerwać na rok studja uniwersyteckie i wróciłem do Wilna na dawniejszą placówkę. Przerwa przedłużyła się do dwuch lat. I gdy wróciłem do Krakowa, przyszła chwila przełomu wewnętrzego. Czegoś podobnego ani przedtem, ani potem nie przeżywałem. Przed wpisami kupiłem potrzebne podręczniki i właśnie po zakupieniu książek i atlasów odzywa się w duszy potężny głos: „Po co to robisz? — wszak medykiem nie będziesz".

Ale co mam czynić? Głos wewnętrzny był tak silny i kategoryczny a przytem naglący, że nie mogłem go zlekceważyć. Odstąpiłem koledze podręczniki lekarskie. A więc przejdę na filozofję i będę tam studjował czystą przyrodę, do której zawsze miałem zamiłowanie. Już wpisuję do indeksu profesorów, których miałem słuchać, ale robię przy tem tyle myłek w odpisywaniu z katalogu wykładów, że musiałem odłożyć pióro. Zdziwiony tem co się dzieje ze mną powiedziałem sobie: Nie, w tym stanie umysłu nie mogę nic decydować. Muszę się uspokoić i zapewnić sobie jakąś równowagę duchową. Dowiedziałem się potem, kto był sprawcą tej burzy wewnętrznej.

Idę na planty, aby trochę ochłonąć. I oto spotykam filaretkę wileńską p. R., która mi z entuzjazmem opowiada, że wraca z Miejsca Piastowego, gdzie miała szczęście przez parę dni przyglądać się ks. Markiewiczowi. Mąż jej był wówczas pułkownikiem w armji rosyjskiej. Ks. Markiewicz z naciskiem polecił jej wpłynąć na męża, aby corychlej wycofał się z armji, bo zbliża się straszliwa wojna, jakiej świat nie widział, która pochłonie miljony ofiar i nie warto bronić sprawy skazanej na przegraną*.

I to spotkanie było jednem z ogniw łańcucha, którym dobrotliwa Opatrzność zbliżyła mnie do ks. Markiewicza. Już w Wilnie coś niecoś słyszałem o nim i miałem zamiar przy sposobności zapoznać się z jego osobą i systemem wychowawczym. Ale okazja teraz dopiero nastręczyła się. Uszczęśliwiony jechałem do Miejsca Piastowe-

---

* Po latach dopiero dowiedziałem się, jak wielkiem dobrodziejstwem było to ostrzeżenie dla pana pułkownika. Przezacny był to człowiek, o niezwykle silnym charakterze, wychowany w rosyjskim korpusie kadeckim, cudem zachował niewinność duszy. Swoje katolickie przekonanie wszędzie zaznaczał, nie zważając na dotkliwe szykany ze strony swoich władz i kolegów Rosjan. Nieraz go widziałem przystępującego do Komunji św. i pobożnie zatopionego na modlitwie. W czasie przewrotu bolszewickiego wszyscy jego koledzy zostali aresztowani w Petersburgu i przez zrewolucjonowanych marynarzy rozstrzelani. Ocalał tylko sam pułkownik, który, po różnych tarapatach, wrócił do Polski i zmarł jako zakonnik.

go, aby nietylko poznać wielkiego polskiego wychowawcę, ale i znaleźć światło, którego tak potrzebowałem w sprawie swego powołania.

Przyjął mnie serdecznie... Nie namawiał mnie wcale, abym został u niego. Owszem, zachęcał do studjów lekarskich, podnosząc, jak wiele bobrego może zrobić lekarz-katolik. Gdy mu zwierzyłem się ze swoich wątpliwości co do powołania, poradził mi odprawić rekolekcje. Wielkie wrażenie zrobiła na mnie jego gorliwość kapłańska, gdy nadmiarę obciążony pracą parafjalną i zakładową podjął się jeszcze udzielić mi rekolekcyj samemu, chociaż tegoż dnia dopiero co zakończył rekolekcje z wychowankami. Podczas rekolekcyj podziwiałem jego głęboki umysł i wiarę, a zarazem ujmującą prostotę, niezwykłą jasność i ekonomję słowa. Konferencje trwały najwięcej 10 minut. Na małych kartkach wypisywał mi numery i stronnice artykułów z „Powściągliwości i Pracy", miesięcznika przez siebie redagowanego. Tam znalazłem naprawdę kopalnię myśli. Nie spostrzegłem, jak mi przeleciały te kilka dni rekolekcyj. Po spowiedzi, którą odprawiłem u niego, powiedział mi: „Proszę iść do kaplicy i podziękować P. Jezusowi za powołanie kapłańskie i zakonne". Byłem trochę oszołomiony. Wiadomość o kapłaństwie nie zaskoczyła mnie. Myśl jednak o zakonie nigdy mi nie przeszła przez głowę. W pierwszej chwili zdawało mi się nawet, że to trochę za wiele dla mnie. Doznałem nawet niemiłego wrażenia, przypuszczam dlatego, że myśl ta była dla mnie zbyt nową. Nietrudno mi było jednak oswoić się z nią, gdy miałem przed oczyma żywą syntezę życia i wspaniały przykład bohaterstwa chrześcijańskiego w osobie tego skromnego proboszcza wiejskiego. Z pewnością wyjednały mi tę łatwość, z jaką zdecydowałem się zaciągnąć na „uniwersytet" ks. Markiewicza, modlitwy wychowanków. Ks. Markiewicz, mąż modlitwy, ducha jej szczepił w sercach swoich wychowanków. Gdy czegoś brakowało w zakładzie, kazał chłopcom o to się modlić. Właśnie tak się złożyło, że w jesieni r. 1910 ks. Markiewicz nie miał prawie nikogo do nauczania licznej rzeszy sierót i młodych kandydatów, którzy ofiarowali się mu na pomocników. Twarde życie i przeróżne prześladowania, jakich ks. Markiewicz doznawał, wielu odstraszyło. Nawet ci, co powinni byli zrozumieć doniosłość jego dzieła, nieraz zniechęcali młodych współpracowników Ks. M. „Prędzej wam włosy urosną na dłoni, niż Ks. Markiewicz stworzy nowe zgromadzenie, a ty zostaniesz księdzem". Takiemi nieraz słowami próbowali ich wytrwałości i studzili zapał. Łaskę wytrwania przy Ks. Markiewiczu otrzymało niewielu, tak iż zostało mu kilku zaledwo braci, nauczycieli rzemiosł. Otóż, jak się dowiedziałem, później — niezłomny kapłan kazał odprawić wszystkim nowennę, aby Bóg przysłał mu ludzi do pomocy. Nie mam najmniej-

szej wątpliwości, że ta nowenna, przez nich odprawiana, pokrzyżowała moje plany naukowe w Krakowie w tak dziwny sposób i przyprowadziła mię do warsztatu wielkiego wychowawcy i męża Bożego.

Ks. Władysław Janowicz.

Obrazki z „naszego życia"

Modne są dzisiaj reportaże. Posługują się niemi: dzienniki, radjo, a i literatura. Skoro rzesze czytelników, czy słuchaczy, interesują się np. życiem w Abisynji, to nie od rzeczy będzie narzucić się z obrazkami z „naszego życia". Nie tchnie ono egzotycznością, ale ma swoistą formę i treść. Wiadomem jest tu i ówdzie, że zakłady Towarzystwa „Powściągliwość i Praca", dziś w liczbie ośmiu rozrzucone po Polsce, mają na celu wychowanie młodzieży sierocej. I oto zbliżamy się do jednego z Zakładów, do Pawlikowic, położonych tuż przy Wieliczce. Gdy kończy się szosa, wjeżdżamy na wyboistą drogę, którą ramują słupy telefoniczne i „elektryczne", nadające „polskiej" drodze cechy nawskroś nowoczesne. Horyzont zamyka gniazdo murowanych zabudowań, które w miarę zbliżania się do Zakładu, zgodnie z prawami perspektywy, olbrzymieją.

Wjeżdżamy na dziedziniec, którego prawą stronę zajmuje potężny, w podkowę zbudowany dom mieszkalny, po przeciwległej stronie dwa budynki, — to warsztaty.

Całość, już na pierwszy rzut oka, czyni wrażenie zastanawiające; po paru słowach wyjaśnień życzliwych zawsze gościom księży, dochodzi się do wniosku, że to coś w rodzaju udzielnego państewka.

Tu bowiem orze się własną ziemię, robi buty, ubrania, stoły, kształtuje się zależnie od potrzeby wszelkie żelaziwo, tu dalej kształci się młodzież zawodowo lub też w gimnazjum, tu przygotowuje się młodzież do stanu duchownego, na piastunów idei Założyciela, tu wreszcie jest władza, uorganizowana stosownie do potrzeb zespołu.

Ale jest w tem wszystkiem coś, co głębiej zastanawia. Cały ten wielki czyn, skierowany jest ku wychowaniu tych, z których los, używając potocznego myślenia, zaszydził pozbawił ojca i matki, rzucił na bruk, pozostawił bez środków do życia. Ci właśnie znajdują tu rodzinę i szkołę, tu uczą się i jedni, zdobywszy wykształcenie, wracają do społeczności mężni, inni zostają tu, by pracować dla Sprawy.

Jakżeż wygląda ten, który zrealizował te ideę, znalazł dla niej realny teren, rzucił nań



Na lekcji.

mury, zapełnił je rumianemi twarzami wychowanków.

Niema Go już wśród młodzieży, zna Go ona z portretu i z myśli, którą hojnie rzucał na całą Polskę z czasopisma „Powściągliwość i Praca“ redagowanego przezeń osobiście.

Stajemy właśnie przed Jego portretem. Jest to odbitka zwykłej fotografji, ale jakżeż zastanawiająca.

Twarz pogodna, oczy wpatrzone we własną toń, można ręczyć, że widzą więcej, niż wielu nawet wyjątkowych ludzi i wreszcie uśmiech dogłębny świadczy, że nie przylepiła go do ust poza, ale radość z czynu dopełnionego i pokój duchowy.

Trudno w pobieżnym szkicu objąć całość życia Zakładu. Wszakżeż na tę całość składa się szereg grup, posiadających indywidualne cechy.

Zastanawia fakt, że jest w Polsce miejsce, gdzie chłopca zdolnego nie pytają o mundurek, ani o taksę, ale kształcą w gimnazjum. Chodźmy tam — może właśnie dostrzeżemy coś ciekawego.

Przechodzimy przez klasy widne, czyste, a w nich zgromadzona młodzież. Tabliczki nad drzwiami objaśniają, że to klasy I, II, III gimnazjalna nowego typu, dalej VI itd.

Wkraczamy do klasy pierwszej, już pierwszy rzut oka wystarcza, by się przekonać, że

to ta sama młodzież, która na głos rannego dzwonka zerwała się o piątej godzinie rano, a za pół godziny spieszyła w ciszy do kaplicy na Mszę poranną, poczem analizowała myśl Kochanowskiego, Wirgilla, czy rozwiązywała zadanie trygonometryczne, by znów na głos dzwonka pospieszyć na śniadanie złożone z ziemniaków i popularnego tu „żuru".

Zewnętrzny obserwator doznać musiałby zawodu. Ci chłopcy nie czynią wrażenia młodzieży gimnazjalnej, nie mają mundurków, tych oryginalnych ram gimnazjalisty. Ubrania chłopców mizerne, łata, ta charakterystyczna cecha ubóstwa materjalnego, święci triumfy.

Ale szybko otrząsnąć można się z pierwszego wrażenia — rozpoczyna się lekcja i ta przekonywuje, że to naprawdę młodzież gimnazjalna.

Chłopcy spoglądają bystro w oczy, z uśmiechem recytują wiadomości, wszakżeż do gimnazjum chodzą tylko najzdolniejsi; ta naturalna selekcja tutaj właśnie znalazła w pełni zastosowanie.

Atmosfera klas nowoczesna, pogodna; uśmiech, chęć pracy, wdzięczność, z odcieniem inteligentnej poufałości, panują tu wszechwładnie.

Ale zaledwie uładzi się człowiek z jedną trudnością, już nastaje druga. W klasie pierwszej uderza nas widoczna dysproporcja wieku, tuż za „malcami" zajęli miejsce „senjorzy". Nie wypada pytać o wiek, ale dwudziestka patrzy z oczu. To ci, których los rzucał po świecie, a dziś nie znaleźliby spowodu przekroczenia wieku pomieszczenia gdzieindziej, uczą się, a malcy mają dla nich respekt, bo senjorzy grupują przeważnie wiadomości rozsądniej, niż malcy to potrafią.

Sylwety chłopców rysują się wyraźniej niż gdziekolwiekindziej, wszakżeż cała Polska jest reprezentowana; spytany na próbę Henryk: a skądeś ty? — odpowiadasz: „ż Wilna", zresztą zdradza go strona fonetyczna wypowiedzi, akcent i zaduma kresowa.

Przechodzi się przez klasy, naogół zimne, chłopcy ogrzewają się tylko własnem ciepłem, nie każda klasa jest na tyle zapobiegliwa, by w żelaznym piecyku zapalić, gdzie uczniów mało, głos ludzki można nietylko słyszeć, ale i widzieć po mgławicy, dobywającej się z ust.

Gdyby nie tęgie postawy uczniów, gdyby nie uśmiech na ich twarzach, możnaby myśleć, że im tu źle.

A jednak trwają, cieszą się tem, że budują swoją przyszłość. Gdy dzwonek odzwoni zakończenie lekcyj i porę obiadową, trzeba wziąć się do pracy fizycznej.

A jakaż to praca? Jedni spieszą do zajęć w kuchni, drudzy porządkują zakład, inni spieszą do stajen, by obsłużyć bydło i trzodę chlewną.

Często też można w tych stajniach znaleźć i bukoliki Wirgilla i Treny Kochanowskiego, bo chłopiec korzysta z każdej chwili, by móc się uczyć.

Tego rodzaju natłok wrażeń wymaga refleksji.

Tyle tu absolutnej nowości! Stwierdza się, że to ciężkie warunki życia, że zachodzi tu olbrzymia dysproporcja w stosunku do tej młodzieży, której poznawaniu tajni nauki towarzyszy atmosfera dobrobytu.

Tu chłopiec, zdany na własne siły, na życie musi przynajmniej zapracować w części, — zdrowie i siły fizyczne wyrabia sobie nie w sporcie, ale w celowej pracy, która bezpośrednio owocuje na talerzu.

Już rzut oczyma po klasach przekonał mnie, że w swobodnie złożonych lub sprostowanych dłoniach chłopców znać hart pracy fizycznej.

Budzi się pewna obawa, że ci właśnie chłopcy, wypuszczeni z zakładu, odepchną kiedyś słabszych i cieplarnianych współtowarzyszy życia.

Rzucam oczyma w ich oczy, czernią się one i błękitnieją i mają ten spokój, który dostrzegłem w spojrzeniu Założyciela.

Uspokoiłem się.

Refleksje te można podsumować, a sumą tą to prognoza dla was chłopcy szczęśliwa.

Poniesiecie w życie zdrowie moralne, rzetelną naukę, hart ducha, dłoni i zdolni będziecie pracować z pożytkiem na najtrudniejszych placówkach naszego polskiego życia!

Kazet.

NAPRZÓD!

(Braciom moim!)

Naprzód! — hej — naprzód — przez świata drogi
z piersią młodzieńczą pełną zapału,
bez utyskiwań próżnych — i trwogi...
z wiarą — do szczytów — do Ideału.
W biegu się swoim nie wstrzyma czas.
Naprzód! — Do czynu rwijmy się wraz!

Kto po swej drodze naprzód nie kroczy,
na moc przyjaźni oczu nie zwraca,
i z bratem swoim się nie jednoczy,
kogo nie nęci celowa praca,
kto nie zna głosu: do prawdy dąż!
— ten zamiast spieszyć, cofa się wciąż.

Naprzód! — hej — naprzód raźno przez życie,
czas się nie cofa, lecz szybko płynie
naprzód wciąż! — z myślą o jasnym szczycie...
Rozum — i czucie — wcielajmy w czynie!
bo w biegu się swym nie wstrzyma czas...
Więc naprzód! — Bracia — wyzywam was!...

Mój wyjazd do zakładu

Dostać się do Zakładu było mojem marzeniem od najwcześniejszych lat. Marzenie to wypełniało wszystkie moje myśli i pragnienia; z niem kładłem się na spoczynek, aby całą noc śnić o upragnionym Zakładzie.

W dzień biedziłem głowinę jakim sposobem dostać się do tego miejsca, w którembym mógł wyróść na pełnowartościowego człowieka. Wnosiłem prośby do Miejsca Piastowego, lecz tam odmówiono mi przyjęcia spowodu braku miejsca.

Nie traciłem nadziei! — po dwu latach wznowiłem prośbę, tym razem do Pawlikowic i zostałem przyjęty! Szczęśliwy był to dla mnie dzień! Serce moje drżało z nadmiaru szczęścia, a dusza rozpływała się z radości, nie wiedząc komu ma zawdzięczać to dobrodziejstwo. Dowiedzieć się miałem o tem dopiero później...

Nie umiem zdać sobie sprawy z tego, co mię do Zakładu pociągało, skoro wieści rozmaite krążyły, chociażby popularna piosenka, śpiewana o Zakładzie, która w gwarze brzmiała:

Niedaleko od Wielicki, oj,
Stoi Zakład michalicki, oj,
Jeść tam dajom jak wróblowi, oj,
Robić kozom jak kuniowi, oj.
i t. d.

Obawiałem się następstw swego kroku, ale szybko zrozumiałem, że praca, choćby najcięższa, choćby o głodzie i chłodzie uszlachetnia człowieka!

I odwróciłem się od tych, którzy mię kusili. Zbliżał się dzień wyjazdu. Gotowano mi wyprawę, o ile szczupłe środki na to pozwalały. Ze smutkiem spoglądałem na domowników, z którymi za kilka chwil miałem się rozstać i zapytałem ich: Czy ja was wszystkich jeszcze kiedyś zobaczę? I zamgliło mi się w oczach, rozkołatało się serce.

Pożegnałem drogą matkę, która ze łzami w oczach żegnała się ze mną, i błogosławiąc, napominała, bym nigdy niczem nie zasmucił jej matczynego serca. Teraz poznałem jak mnie bardzo kochała ta matka, której ja nieraz przykrości wyrządzałem. Wyrwawszy się z jej objęć, pobiegłem za ojcem, który mię odprowadzał. Na dworze było ponuro, drobny deszcz począł padać, a mnie się wydawało, że i przyroda wespół ze mną przyoblekła się smutkiem. Ale niedługo w duszy mej pojaśniało. Uczułem się jak ptak wypuszczony na wolność.

Po pożegnaniu się z ojcem wsiadłem do pociągu, który miał mię zawieźć daleko od domu, od wioski, rodziny, do ludzi obcych i nieznajomych.

Lecz w pierwszej chwili zapomniałem o Zakładzie, a oddałem się wrażeniu, jakie robiła na mnie jazda pociągiem. Pierwszy raz bowiem jechałem pociągiem i nawet pierwszy raz go widziałem, toteż wrażenie było potężne. Wydawało mi się najpierw, że pędzę gdzieś

na dół, lub że stoję wraz z pociągiem w miejscu, a góry, drzewa i miasta uciekają mi z przed oczu. Monotonne wstrząsanie na wiązadłach szyn i zgrzyt po niem ciężkich wagonów nie pozwalały mi zmrużyć oka, choć zapadła głęboka noc.

W Wieliczce powiedziano mi, że Zakład o 3 km. oddalony, a poznać go można łatwo, bo otoczony jest dużym dębowym parkiem.

A więc Zakład! Moje marzenie się spełniło. Znalazłem się wśród grona księży i kolegów, wśród życzliwych twarzy, na które patrzyłem z czcią wielką.

Przy zwiedzaniu Zakładu, w pierwszy dzień mego pobytu, zaszedłem na gospodarstwo. Tutaj, jakby na powitanie, zabrzmiała stugłosowa orkiestra bezrogich stworzeń. Więc to ta osławiona pawlikowicka „świniarnia“, o której nasłuchałem się od byłych wychowanków tyle okropnych rzeczy. Lecz gdy zobaczyłem zadowolone, uśmiechnięte i junackie twarze kolegów strach pierzchnął, a ja poznałem, że każda praca daje wewnętrzne zadowolenie i w każdej można się rozmiłować. Teraz, po kilku latach wytężonej pracy i borykania się z trudnościami życiowemi, przekonałem się, że jednak to zakładowe życie posiada nietylko siłę ale i powab.

Wychowanek.

„Samowystarczalność“

Wstajemy rano i myślimy wszyscy jak też będzie dzisiaj w klasie. Lecz nie myślimy nad tem, jak pójdą lekcje, tylko czy w klasie będzie ciepło, czy zimno. To jedno słowo — zimno — przejmuje wszystkich dreszczem. Może ktoś z szanownych czytelników zapyta, „dlaczego tercjan nie zapalił?“ Niestety, u nas tercjana niema. „Dlaczego?“, a bo go nam wcale nie potrzeba. Wszyscy jesteśmy stale uczniami, a na zmianę tercjanami. Ale tu chodzi o co innego, mianowicie: czem napalić. Kiedy więc wszyscy, to jest całe nasze grono koleżeńskie, złożone z 10 uczniów, bo nas tylu jest w III kl. gimn. — myśli i pyta co zrobić, aby było ciepło, wychodzi wówczas naprzód, najmniejszy z naszych kolegów, który nie ma więcej jak 130 cm. wysokości, zwany przez kolegów pociechą lub kurczątkiem i zabiera głos: „Aby było ciepło trzeba napalić“. Dobrze. Ale czem napalić? — pytają koledzy. Wtedy nasze „kurczątko“ przybiera minę, jaką posiadał Kolumb, gdy odkrył Amerykę i rzecze to jedno słowo: „paliwem“. Wszystko w porządku, wiemy czem palić, ciągną dalej, śmiejąc się koledzy, „tylko skoroś nam już tyle powiedział, to powiedz nam jeszcze jedno,

skąd wziąć tego paliwa". Ale i na to „kurczątko" znalazło odpowiedź, mówiąc „w tem już nasza głowa". Na te słowa rozbiegają się wszyscy, ten do kuchni, tamten do węglarni, jeszcze inny gdzieś na budowę i po chwili wracają wszyscy obładowani różnego gatunku paliwem. Jeden niesie kawałek węgla, drugi trochę wiór, trzeci drzewa i t. d. Są wszyscy? pyta po chwili Wicek palacz. Niema jeszcze naszego „grubaska". „Grubaskiem" nazywamy kolegę, który ma obwodu najmniej 125 cm. Ale nadszedł i „grubasek", „taskając" o dość dużych rozmiarach deskę z jakiejś tam starej, rozbitej paki, z którą koledzy szybko się załatwili. Po złożeniu potrzebnych materjałów koło pieca, zadowolony nasz „palacz" Wicek, chłop o wysokości blisko 2 metrów, kładzie wszystko w piec i podpala. Koledzy, wybiegając na korytarz krzyczą: „pali się! pali się!" — Gdzie? — pyta ten i ów. W naszej klasie, w piecu — wołają uradowani koledzy. Teraz wszyscy podążyli do sypialni, a umywszy ręce, poczęli się ubierać, czyścić, a kto się nie doczyścił, miną próbuje pokryć braki. Po śniadaniu wracamy do klasy, patrzymy, a tu nasz piec, który po japońsku zwiemy „hibaszi", cały czerwony, a w klasie, jak w raju. Dzwonek. Przychodzi p. profesor polonista. Gdy idzie korytarzem, obserwuje go jeden z kolegów przez uchylone drzwi i komunikuje reszcie: „idzie, idzie, ale zły". Jednakowoż, gdy profesor wszedł do klasy i podzwrotnikowe prądy owiały jego twarz, uśmiechnął się, a odmówiwszy z nami modlitwę, rzecze: „Wy jednak zawsze jesteście zuchami, wiedziałem, że będzie u was ciepło". Tak jest, jesteśmy zuchami, ale i pierwszymi rozbijakami w zakładzie. Idą godziny, jedna za drugą, wiara przygotowana należycie. Przychodzi wreszcie ostatnia godzina: niemieckiego. O teraz będę miał przeprawę, myślę sobie, jakoż w istocie, omawiając jeden z utworów Goethego, tak się spociłem, jak przy żniwie, bo muszą szanowni czytelnicy wiedzieć, że jest to jeden z najtrudniejszych dla mnie przedmiotów. Skończyła się wreszcie godzina, po niej czeka nas obiad: ziemniaki, fasola, a potem do pracy fizycznej trzeba się niebylejak spieszyć.

Wł. Kądziołka



ŚNIEG

Któż tu był nocą?
Wszak ziemia cała,
co wczora szarą nosiła szatę,
dzisiaj weselną suknię przybrała...
— pola są białe... i strzecha biała...
Któż bielił pola?... któż bielił chatę?...

A i w powietrzu motylów tyle...
A każdy białe skrzydełka składa...
a każdy — z wiatrem igrając mile
wznosi się — zniża... i znów na chwilę
wzbiwszy się w górę — na ziemię spada...

A może to są gwiazdek okruszki,
które strąciła otarciem chmurka?
może to białe igrają muszki?
czy też aniołków skrzydeł koniuszki?
czy białych z nieba gołąbków piórka?

Cały świat w bieli... Dymy ospałe
czernią się wiatru miotane mocą.
I pola wczoraj nie były białe,
któż więc obielił obszary całe,
drzewa i chaty?... Któż tu był nocą?

Pierwsze zebranie redakcyjne

Drzwi się otwarły i wszedł poważnie, wśród ciszy grobowej, pan Redaktor, kierując się ku stolikowi.

Kochani chłopcy, zaczął przemowę Redaktor.

Wiadomo wam, iż, dzięki wysiłkom i ofiarności ze strony pewnych osób, powołano do życia nowe pismo miesięczne, organ naszego Towarzystwa .. W końcu sali, w okolicy Kropki, powstał szmer. Ta joj Felek słyszysz? Będziemy mieli nowe organy na chórze.

Ja już będę się lepiej modlił przy takich organach, dzięki ofiarności i wysiłkom pewnych osób.

Proszę o spokój! Rozlega się jak cięcie miecza od strony stolika. Otóż powinniście być dumni, że będziecie mieli własną gazetkę, powinniście jej strzec jak oka w głowie... prawi dalej p. Redaktor.

Ta joj, ja przecież nigdy oka nie pilnuję a... Ty Kropka nie mrucz, bo cię pan redaktor każe wyrzucić za drzwi przez największego osła. Teraz zaczynały się takie i tym podobne dialogi po końcach sali, podczas gdy p. Redaktor w za-

pale oratorskim zachęcał, do czynnego popierania „Naszego Życia".

Można zasyłać różne artykuły, krotochwile, zagadki i t. d. — kończył p. Redaktor.

Proszę p. Redaktjera! Ja proszę najpiękniej, napiszę na ten temat coś o jedzeniu: „Znaczenie szperki w kapuście". Rozważanie na cały rok, po 2 godziny dziennie!

Cała sala zatrzęsła się od śmiechu. Pan Radaktor zadzwonił na uciszenie i zaznaczył, aby rzecz traktować poważnie. Wtem oczy wszystkich skierowały się na Kropkę, który wstając nieśmiało, przewracał oczyma jak trup na weselu.

— Ja napiszę: „Umarła babka w Skawinie" jest to strasznie smutne zdarzenie o tragicznej babce, co żyła, a potem wzięła i umarła.

Zaś do pary, tak na rozweselenie, to „Podróż dziadka naokoło stołka z przygodami".

A proszę podpisać: Hipek Warjat! aby nikt nie poznał, że to ja zmachał.

Na sali ogólne poruszenie, oraz uznanie takiej mądrości Kropki.

Nagle wstaje jeszcze jeden literat i zapowiada głosem pewnym swoje możliwości pisarskie. — Ja napiszę „Znaczenie mikroskopa w życiu chemika", podpiszę się zaś Hadwao (H_2o). — A bodajże was z takiemi podpisami, wszak to znaczy woda, chyba że ten artykuł będzie pisał w pocie czoła. Ale niech i tak będzie. Przerywa p. Redaktor. — Proszę, coś dalej? Teraz posypały się jak z rogu obfitości różne karkołomne pomysły; a więc! „Oświetlenie wyprawy Napoleona pod Psków" z podpisem Alexander Wielki, wódz Huronów.

„Znaczenie pączków w karnawale i śledzi w poście" i t.d.

— A ja, krzyczy jeden zapaleniec, poślę zagadkę; niech p. Redaktor posłucha. Co to jest, ma 2 nogi i jest czarne? No proszę zgadnąć. (Wszyscy myślą zawzięcie, co też to może być).

— Nie wiecie? no to powiem: Wrona!

A co to jest: ma 4 nogi i jest czarne?

— Nikt nie zgadnie? No 2 wrony! A teraz co to jest, ma 6 nóg i jest czarne? Pan Redaktor, zadowolony z rozwiązania, krzyczy: 3 wrony!!! — A właśnie, że nie, bo mucha! —

Cała sala zaruszyła się jak mrowisko, po takiem napięciu myślowem, posypały się oklaski na cześć pomysłowego referenta.

Pan Redaktor chce zakończyć zebranie, gdy wtem wstaje dość pewnie, mała figurka, o ruchach flegmatycznych, znamionująca wysokie uzdolnienie w kierunku matematyki.

— Jeszcze ja chciałbym napisać „Sposób rozwiązania równań, o jednym niewiadomym" ale proszę podpisać tak jak się nazywam: Cympura. Bo ja wiem, że żaden porządny człowiek nie wstydzi się swych czynów.

Tak mi mówił ojciec w domu, że trzeba się tylko wstydzić złego. Dlatego zawsze i wszędzie trzeba być sobą i nie wstydzić się swego nazwiska!!!

H. Harańczyk



Zakład w Pawlikowicach (w chwili objęcia 1903).

Zakład w Pawlikowicach

Rys historyczny Pawlikowic, pióra ks. Bronisława Markiewicza, pomieszczony w „Powściągliwości i Pracy“ rok 1903.

Wieś Pawlikowice leży pod samą Wieliczką. Od miasta tego jest tylko 3 km. oddaloną. Liczy około 300 mieszkańców. Dwór na wzgórzu malowniczo położony, z widokiem otwartym na daleką Babią Górę, ma obecnie 130 morgów ziemi. Domy mieszkalne otoczone, jako niegdyś pańska rezydencja, pięknym czteromorgowym starym parkiem. O kilkaset kroków za zabudowaniami, na pochyłości łagodnie zwróconej ku nim, szumi na 17 morgach ośmdziesięcio-letni las dębowy, na dworskich gruntach. I Właśnie ten dwór nabyło Towarzystwo „Powściągliwość i Praca“ od Kasy Oszczędności w Wieliczce na zakład dla dzieci ubogich i opuszczonych.

Schematyzm diecezji krakowskiej podaje, że istniał „w Pawlikowicach socyniański dom modlitwy, a do dziś dnia są groby tamże murowane“ (...in Pawlikowice vero oratorium Socinianum, in quo loco existunt adhuc sepulchra murata, p. 247). Zbór ten został pra-

wdopodobnie później zamieniony na spichlerz, którego struktura każe się tego domyślać.

Zaś Towarzystwo „Powściągliwość i Praca" obróci go znowu na kaplicę, zwłaszcza, że istniejąca jest bardzo mała, iż zaledwie może pomieścić 20 osób. W pobliżu mieszkania znajduje się kapliczka ozdobiona pięknym obrazem Najśw. Panny Marji. W grobach zaś wspomnianych leżą ciała możnych arjańskich rodzin w okolicy Wieliczki osiadłych, a osobliwie ciała rodziny Morsztynów i Taszyckich, którzy żyli w błędach arjańskich prawie 100 lat, od 1560 do 1660 roku. Morsztynowie byli panami na Pawlikowicach, Raciborsku i Sledziejowicach, a zaś Strzemieńczycy Taszyccy w sąsiedniej wsi Taszyce.

Jak opowiada J. Szujski (Dzieje t. III str. 462) w Roznowie (w sąsiedztwie Pawlikowic) na zamku Jana Wielopolskiego odbyła się w 1660 r. dysputa pomiędzy katolikami i arjanami. I właśnie Niesiecki kładzie na ten czas przejście na łono Kościoła katolickiego Władysława Morsztyna starosty Kowalskiego, a oraz posła, deputata i znakomitego rycerza, wraz ze swoją żoną Barbarą z Moskorzewskich i nawrócenie Zygmunta Taszyckiego wraz ze stryjem Samuelem. I zaznacza, że Władysław Morsztyn w r. 1689 pierwszy z Morsztynów pogrzebany został na cmentarzu w Wieliczce.

W grobach arjańskich pod Pinczowem, które rozkopywał Tadeusz Czacki, jak podaje Z. Gloger (Encyklopedja staropolska t. I), każdy zmarły trzyma w ręku tablicę z napisem: „Scio cui crediti" (wiem w co wierzyłem) a na boku w butelce dobrze zatkanej zachowany jest opis żywota zmarłego.

Taksamo zapewne musi być i w grobach murowanych w Pawlikowicach.

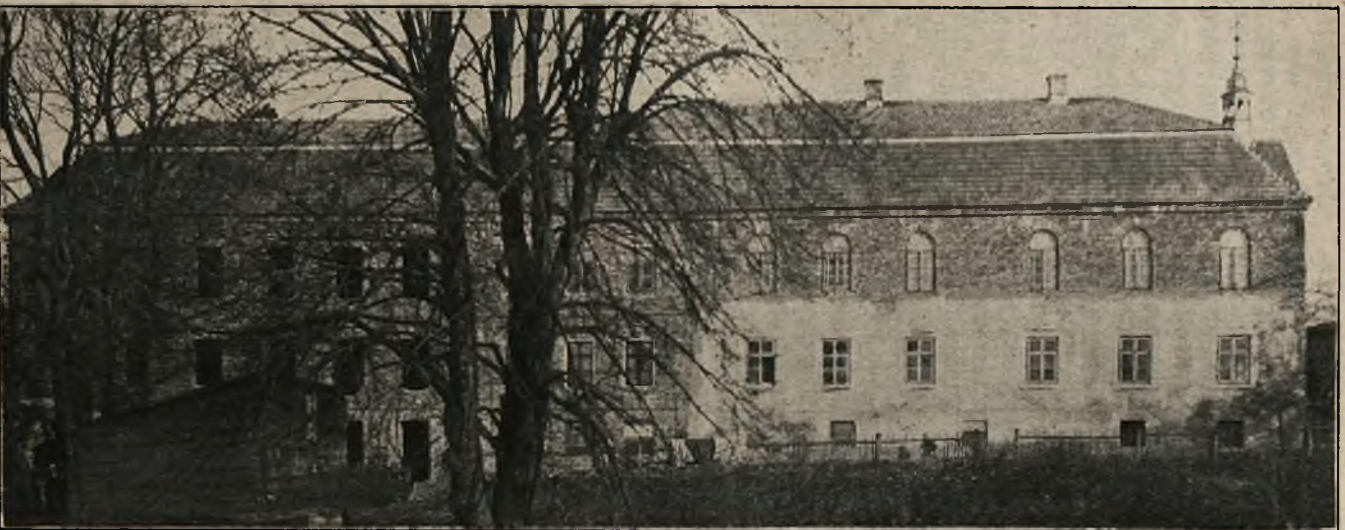
Drużyna harcerska w zakładzie



iadomość o tem, że w Zakładzie Wych. w Pawlikowicach powstała drużyna harcerska, możnaby ograniczyć do notatki kronikarskiej.

Jeśli tej sprawie poświęcamy słów parę, to czynimy to ze specjalnych względów. Czołowy Członek Towarzystwa wyraził się na zebraniu organizacyjnem harcerstwa słusznie, że każdy zakładowiec, pominąwszy względy formalne, jest harcerzem, bo całokształt życia zakładowego wykazuje najściślejszą analogię do życia harcerskiego.

W wywodach swoich mówca stwierdził, że praktyka harcerska sięga w życiu zakładowem dalej, niż w organizacjach harcerskich, tam bowiem jest ona tylko współczynnikiem wychowania, tu zaś



Zakład Wychowawczy w Pawlikowicach
(obecnie)

czynnikiem głównym. Że powyższe oświadczenie posiada pełnię prawdziwości, dowodów na to mamy nazbyt wiele. Wyjdźmy od harcerstwa: Szkoła harcerska winna druha ukształcić nietylko etycznie, ale i usprawnić go technicznie, co ma olbrzymie znaczenie życiowe.

Chodzi tu w tym wypadku głównie o zdobycie maksymalnej zaradności życiowej.

W praktyce dąży harcerstwo do realizacji swoich celów przez gawędy, ćwiczenia polowe, zapoznawanie gałęzi wiedzy, mających bezpośredni związek właśnie z ową zaradnością w poszczególnych życiowych wypadkach, wreszcie przez obozy, a więc życie młodzieży, najbardziej usamodzielnione w stosunku do hierarchji życia domowego (nazbyt często cieplarnianego) i do życia szkolnego.

Takiem właśnie stałem obozowiskiem harcerskiem jest życie w Zakładzie. Śmiem stwierdzić zaraz na wstępie, że życie zakładowe ma w sobie coś, co możnaby określić skrótem: bardziej na serjo.

Otóż dla młodzieży harcerskiej życie harcerskie to szkoła, ale i zabawa w dorosłych inżynierów, wszelkiej kategorji oficerów, nauczycieli i t. d.

W Zakładzie przy pracy odpada czynnik zabawy, młodzież u wstępu musi się wyzbyć jej mirażu. Gdy po rozległych dzierżawach Polski wznoszą się celty obozowe, gromadzi się żywność na czas trwania obozów i po Zakładach wrze praca.

Oto wychowankowie gaszą wapno, gromadzą cegłę, ryją ziemię pod fundamenta, by wznieść nie namiot o życiu jednodniówki, ale trwałą budowlę, która służyć będzie lata drużynom sierót.

Żywność gromadzą wychowankowie w oparciu o szersze widoki, chodzi tu o zimę. Gimnazjaliści i zawodowcy spieszą kosić trawozbiory, pod ich kosę kładą się dojrzałe łany zbóż, które to zboże należy skolei młócić, mleć, własnemi rękoma miesić chleb...

Sprawność kucharza, tak ceniona w życiu harcerskiem i tu jest konieczna, trzeba obiad ugotować i nie wolno „sfuszerować“, bo błąd taki odbija się na całem życiu zakładowców.

W życiu zakładowem stosuje się całą szkołę harcerską, musi być rygor i porządek, bo brak tego zakłóciłby normalny bieg spraw. Są i biegi i kąpiel, ale wszystko wypływa z konieczności i z celowości.

Ta właśnie konieczność i celowość (kąpie się dlatego, by oczyścić się z brudu po pracy i orzeźwić się) nadaje życiu zakładowca charakter, powiedzmy, głębszy. Nie chcę przeceniać roli wychowania zakładowego, ale uważam, że inna satysfakcja jest wówczas, gdy ustawi się w trudzie namiot, a inna, gdy postawi się własnemi rękoma dom murowany, inna gdy za gotowe pieniądze kupi się mąkę, z której kształtuje się smaczne kluski, a inna gdy nim się do mąki dojdzie, trzeba wpierw zagon orać, obsiewać, plewić, kosić czy żynać, młócić, mleć, a potem chleb, czy kluski sporządzić.

Podobna niewątpliwie, ale bardziej realna szkoła życia. Zaniedbanie zrodziłoby ruinę. Wracam do tego, od czego wyszedłem: konieczność, celowość, to najsilniejsze elementy życia wychowania zakładowego. Sprawność nabywa wychowanek w życiu: ogrodnikiem staje się przy zajęciach ogrodniczych, praczem, gdy pierze bieliznę współkolegów, kucharzem, gdy gotuje dla całego zakładu, leśnikiem, gdy pilnuje lasu, karczuje go, czy sadzi, kowalem, gdy kuje konia, grajkiem, gdy gra w orkiestrze zakładowej, sekretarzem, gdy prowadzi sekretarjat zakładowy, hodowcą na miejscu, w stajni i t. d.

Życie na serjo!!

A gdzie strona etyczna? I tej nie brakuje. Dzień rozpoczyna się od modlitwy i na modlitwie się kończy, a wszystko, co wchodzi w skład harcerskiego dekalogu, musi wejść w serce i mózg wychowanka. Krótka relacja z dokonanej pracy nie daje mu pola do werbalizmu, uczy go „zawiszańskiej" wartości słowa. Praca uczy wychowanka służby dla Ojczyzny, daje mu świadomość pożyteczności własnej i uzmysławia konieczność pomocy bliźnim. W tejże pracy wykuwa wychowanek swój stosunek do bliźniego i braterstwo zakładowe.

Przyrodę poznaje wychowanek rzeczowo, z musu życiowego, do karności wzwyczaja go mądry rozkaz. To wszystko daje mu poznanie wartości własnego wysiłku, a z niego płynie radość życia z odcieniem gotowości dalszych poświęceń, a więc rycerskość.

Oszczędność i praca musi być przestrzegana tam, gdzie zrzeszono się pod hasłem: „Powściągliwość i Praca".

Gdzie katolicyzm całą wychowawczą moc rozwinął ku dobru wychowanka, tam może być mowa o czystości myśli, mowy i uczynku. Nie zdarza się, by wychowanka „przyłapano" na paleniu tytoniu lub piciu alkoholu.

Tak pełni wychowanek z Zakładu dekalog harcerski.

A jeśli mimo wszystko wychowankowie pragną być harcerzami faktycznymi, to dlatego, by przyjąć szczytne miano i konsekwencje społeczne życia harcerskiego i by zbratać się z wielką rodziną harcerską.

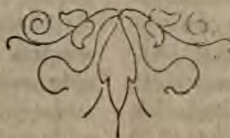
Na koniec parę wiadomości organizacyjnych.

Drużyna harcerska pozostaje pod wezwaniem ks. Bronisława Markiewicza, który jest twórcą Towarzystwa i który rzucił podeń podwaliny ideowe.

Drużyna liczy cztery zastępy: Orłów, Żbików, Lisów i Kowali.

Liczba członków drużyny wynosi 44.

Druhom-Harcerzom polskim najmłodsi druhowie ślą harcerskie: Czuwaj! *Kazet.*



KRONIKA

ZAKŁADÓW TOW. „POWŚCIĄGLIWOŚĆ i PRACA"

Pawlikowice.

1. Luty — ten miesiąc, o którym przysłowie wyraża się: — kiedy luty, obuj buty — rozpoczął się dziwną, bo niby wiosenną, a niby jesienną szarugą.

2. Święto Matki Boskiej Gromnicznej zgromadziło (jak zresztą corocznie) w naszej kaplicy masę ludzi okolicznych, którzy z gromnicami w ręku przyszli złożyć hołd Matuchnie Najśw. Na sumie, którą odprawił Ks. F. Skrzypkowiak, młodziutki chór, złożony z najmniejszych naszych studentów, odśpiewał po raz ostatni kolędy. Świeże tony kolęd odbijały się o sklepienie kaplicy i, napełniając każdy jej zakątek, nastrajały dusze na jakąś nutę uroczystą, o ile nie radosną. Wieczorem, na zakończenie uroczystości Matki Bożej, urządziło Koło Eucharystyczne akademję, na program której złożyły się: referat, recytacja, deklamacje i śpiewy. Na zakończenie odegrano 1-dno aktową sztuczkę p. t. „Tarsycjusz".

3. Śnieg padał przez cały dzień, darząc radością wszystkich zapalonych sportsmannów, począwszy od najmniejszych, a skończywszy na tych, którymby już sam rozsądek nakazywał siedzieć w domu przy piecu (— niestety – w tych czasach rzadko opalanym).

7. Nie wiem bliżej z jakiej przyczyny podali dziś obiad aż o 2 giej. Zdaje mi się, że wymówki jakoby zły węgiel był tego przyczyną, nie należy traktować serjo. Uzasadnić to można raczej tem, że kuchcicy, jak to mówią, „zwiali" Siostrze, aby choć „na chwilkę" pojeździć sobie na nartach. Czy moje przypuszczenia są słuszne, to niech sami odpowiedzą.

9. Niedziela ta, upamiętniła się pod wieloma względami. Pominąwszy już wszystkie przyjemności sportu zimowego nie mogę zamilczeć o dzisiejszem zebraniu Koła Młodzieży, na którem dowiedziałem się, że za zgodą Przełożonych domu, postanowiono założyć w Zakładzie harcerstwo i że już w tym celu przedsięwzięto pewne starania w Komendzie Chorągwi w Krakowie. Wiadomość owa rozradowała tak bardzo serca naszych kochanych łobuzów, że przez szereg dni nawet jeść zapominali na refektarzu, rozprawiając o harcerstwie i snując plany na przyszłość. Dopiero przypomnienie asystentów sprowadzało ich z krainy marzeń do rzeczywistości i .... wyziębłej w misce zupy.

11. Praca nad przygotowaniem „Naszego życia" idzie w „amerykańskiem" tempie — mimo „chłodu". Mróz, który dzisiaj dosięgnął 19 st. C. nie potrafił ostudzić zapału pisarskiego współpracowników gazetki, owszem raczej dodał bodźca do obfitszego pisania, bo jak słyszałem mnoży się liczba artykułów nadsyłanych do redakcji. (Mam wrażenie, że Redakcja cieszy się z tego bardzo, tem więcej, że odczuwa zimno z powodu nieopalania pokoju redakcyjnego).

12. Dziś mała zmiana w zarządzie wewnętrznym domu, bo urząd asystenta głównego za br. Ciska objął kl. Sobczak. Brat Cisek wraz z braćmi nowicjuszami Lecykiem i Ciburą od-



W pralni.

prawia rekolekcje. Mróz trzyma stale ku wielkiemu zmartwieniu Ks. Dyrektora, któremu coraz częściej brak pieniędzy na kupno węgla. A węgla potrzeba nam dużo, najprzód do kuchni, potem do piekarni — pralni i jeszcze conajmniej do 10-ciu innych pieców i piecyków. Chwała Bogu, że jeszcze chleba nie zabrakło.·. Co się zresztą przejmować, Pan Bóg i Matuchna Najśw. zginąć nam nie dadzą i w krytycznej chwili przyjdą nam z pomocą — jak zawsze.

15. Obchodziliśmy dzisiaj w Zakładzie domową uroczystość, z powodu złożenia ślubów wieczystych przez br. Ciska, a czasowych przez br. Lecyka i br. Ciburę. Modliliśmy się za nich, aby im Pan Bóg dodał siły do znoszenia trudów życia zakonnego, a kiedyś nagrodził ich niebem za pracę nad rozszerzaniem królestwa Bożego w sercach ludzkich.

18. Niedziela. Marzenia o harcerstwie nie zostały płonnemi, bo dziś odbyło się pierwsze zebranie harcerzy przy współudziale XX. Przełożonych PP. profesorów, komendanta hufca z Wieliczki H. O. Wiesława Korpala i grona sympatyków harcerstwa. Ponadto wieczorem urządziły zebrania: Koło Eucharystyczne i S. K. O. czyli Szkolna Kasa Oszczędności, zorganizowana ostatnio wśród zawodowców. Znającym cośkolwiek nasz regulamin dziwnąby się wydawała ta Kasa Oszczędności w Zakładzie, bo tu wychowankowi nie wolno mieć pieniędzy. Cóż więc można oszczędzać i składać w Kasie, jak nie pieniądze? Tymczasem sprawa oszczędzania jest bardzo prosta i nie koliduje wcale z regulaminem. Członkowie S. K. O. są obowiązani do czynienia nadobowiązkowo rozmaitych dobrych uczynków jak n. p. gaszenia światła, zamykania drzwi, naprawiania niby nie nadających się do użytku rzeczy i t. p. W ten sposób oszczędzają. W praktyce przedstawia się to tak: członek S. K. O., n. p. krawiec, znajdzie jakąś starą zniszczoną czapkę i działając w myśl zasad oszczędności, naprawia ją tak, że może ona znowu przez jakiś czas komuś służyć. Następnie opisuje swoją pracę na kartce, którą, podpisawszy, wrzuca do skrzynki SKO. Zarząd S. K. O. wyjmuje ją, ocenia wartość pracy danego członka nad naprawą tej czapki, i odpowiednią sumę zapisuje na jego dobro. Tak samo ma się rzecz z każdym innym uczynkiem. Jak więc widzimy, cel S. K. O. jest bardzo piękny i dobrą

byłoby rzeczą, gdyby od jej członków nauczyli się oszczędzać wszyscy wychowankowie.

18. Psotnik wiatr zasypał nam śniegiem całą drogę do Wieliczki, tak, że przedostanie się przez zaspy przedstawia dużo trudności i zmuszeni zostaliśmy do wysłania ekspedycji, złożonej z kilkunastu chłopców, celem usunięcia śniegu.

19. Piekarzom wyczerpał się już zapas drzewa i korzystając z wolnego czasu przeobrazili się na drwali i już od dwu dni ścinają i ściągają je do piekarni. Postarać się o drzewo było dla nich rzeczą stosunkowo łatwą, ale nie łatwem jest postarać się Ks. Dyrektorowi o pieniądze na mąkę, której dość często zaczyna brakować.

20. Korzystając z dobrej sanny wywozimy nawóz na pole, aby móc wczesną wiosną rozrzucić go i nakarmić naszą matkę — ziemię.

22. Na wszystkich polach pracy zakładowej daje się zauważyć gorączkowy ruch... Zamordowano wieprzka. — Zawodowcy i postulanci męczą na gwałt dwie sztuki teatralne. — Połączone orkiestry: starsza i młoda pod batutą młodego debiutanta br. Bembena, przygotowują się do jutrzejszego i wtorkowego występu. Odpowiednie z tych prac wnioski niech sobie wyciągną ci wszyscy, którzy z anielską cierpliwością doczytali do końca moje spostrzeżenia.

Kronikarz.

Kraków.

Radosna wieść nagle i niespodziewanie zjawiła się w krakowskim zakładzie „Józefickim", że „Nasze Życie" znowu zaczyna żyć, — przeciwnie jak 2 lata temu, kiedy wielki nas wszystkich smutek ogarnął — z powodu jego zamarcia. „Nasze Życie" jest jedynym łącznikiem między 8-miu Zakładami naszymi — a oto już 2 lata jak nam łącznik znikł. Do Zakładów położonych na głównych traktach, jak: Warszawa — Kraków — Pawlikowice — Miejsce Piastowe, jeszcze od czasu do czasu doszło jakieś echo z Zakładów prowincjonalnych od osób przejezdnych; — ale zakłady położone na krańcach ziem naszych mało o sobie wiedziały — a przecież jest dla nas ciekawe jak tam żyją, czy ich wilki w tym roku jeszcze oszczędziły.

Drugą stroną dodatnią, jaką ma „Nasze Życie" w Zakładach naszych, jest ćwiczenie się w zawodzie literackim. Będziemy mogli znowu brać za pióro i próbować swoich sił.

W naszym Zakładzie dużo już w tej przerwie dwurocznej się zmieniło. Przedewszystkiem mamy dom cały wewnątrz i zewnątrz odnowiony na kolor pomarańczowy, — co przedstawia się imponująco.

W personelu wychowawczym jak i wśród wychowanków zaszło wiele zmian, bo Zakład coroku wypuszcza pewien procent ludzi – przystosowanych mniej lub więcej do życia społecznego. Zmienił się też personel kuchenny, — a na tem korzystamy, bo poznajemy coraz większy zakres sztuki kulinarnej, ponieważ każda nowa kucharka wprowadza jakąś nową swoją ulubioną potrawę — taką, o której przedtem nie mieliśmy pojęcia.

Przeżywaliśmy w tym roku wiele atrakcyj. Wakacje spędziliśmy, dzięki łaskawości Księcia Metropolity krakowskiego, w Jego zamku pobenedyktyńskim, w Tyńcu nad Wisłą. Jest to urocza okolica, piękną jest zwłaszcza „Prałatówka", położona na wysokiej skale, — otoczona srebrną wstęgą Wisły.

Tu odwiedzali nas, ze względu na zabytkowy charakter miejsca, różni wycieczkowicze z całej Polski. Tu

przyjeżdzali ułani z Krakowa uczyć się przeprawiać konno przez wodę, — tu piechota przychodziła na ćwiczenia.

Stąd robiliśmy wyprawy w różne okolice — wycieczki krajoznawcze: Do Skawiny, — Mnikowa, — Krzeszowic, — Czerny, — Tenczynka, Rybny, — Czernichowa i Kalwarji Zebrzydowskiej. Stąd chodziliśmy do lasu na poziomki i chróst do podpałki na ogień. Stąd udawaliśmy się łodzią, promem lub nawet pieszo, gdy woda opadła, trzymając się za ręce, na drugi brzeg Wisły do Piekar, na oglądanie różnych jam skalnych i do Liszek na sławną kiełbasę lisiecką.

Wieczorami powietrze nad wioską — Tyńcem napełnialiśmy pieśnią pod batutą kl. Wyrębskiego, — a bardzo nam w tem pomagali mieszkańcy górnego zamku tynieckiego – tubylcy oraz letnicy krakowscy z Prądnika Czerwonego, będący tu na wypoczynku.

Tu mieliśmy swą plażę, — która dogodnością — i wygodą nie mogła iść w porównanie z najlepszą w Krakowie; — a „odkryli" ją przypadkowo nasi zuchowie — koledzy: Bochnak i Stachnik, — idąc w dół Wisły na połów ryb.

Wróciliśmy zdrowo. Nagromadzone zapasy sił i energji mają nam starczyć przynajmniej na cały rok szkolny. Dotąd trzymają się wszyscy zadowalająco. I to szczęśliwie, bo w ostatnich miesiącach nie miałby nas kto leczyć, albowiem Dra Bol. Komorowskiego, który cały szereg lat bezinteresownie obsługiwał nasz Zakład, powołał Bóg po nagrodę do nieba. Cześć jego pamięci!

Po nim objął urzędowanie, jako lekarz Zakładowy, Dr. Stanisł. Kłeczek.

Tej zimy uprawiamy więcej sport pokojowy, z powodu braku śniegu i lodu; A szkoda, bo mamy dobrego sportowca, — który swego czasu, w Rymanowie — Zdroju, zbierał na występach oklaski, — a z pośród graczy sam jeden był przez publiczność wyróżniony pod mianem: „brawo lisy kiwantus". Teraz z powodu lichej aury musimy się ograniczać do ping pongu, warcabów i szachów. Z wytężoną energją pracuje też młodzież stowarzyszenia w K. S. M. Urządzają różne niespodzianki, by uprzyjemnić nam wieczory, — pod dzielnym zastępowym druhem Stachnikiem. 31 stycznia br. urządzili ładny wieczorek dla uczczenia zasług Pana Prezydenta R. P. z okazji imienin Dostojnego Solenizanta.

W czasie świąt Bożego Narodzenia zakład nasz przypominał trochę koszary wojskowe — ponieważ bawiło u nas 4 żołnierzy, byłych wychowanków na urlopie: dwaj służą jako poborowi, inni są w szkole podoficerskiej dla małoletnich w Śremie.

Na szczególną wzmiankę zasługuje w naszym domu nowość. — To pasieka. Historja jej taka:

Około połowy czerwca ubiegłego roku, podczas pięknej pogody, ogrodnicy nasi, podlewając w ogrodzie kwiaty, zauważyli unoszącą się dość nisko w powietrzu nad naszym ogrodem jakąś ciemną kulę — niby balonik. Okazało się, że to zabłąkany rój pszczół. Za chwilę usiadł na gruszy. No i senzacja. Uczynił się ruch. Jedni krzycząc: pszczoły, pszczoły, biegli po kolegę Piotrusia, zagorzałego pszczelarza; drudzy przyglądali się bezradnie, nie wiedząc jak się zabrać do łapania roju. Lecz zjawił się wreszcie sam czcigodny Piotruś, który zaszyty z teologją w Zaroślach ogrodu, nie zauważył co się dlań w tej chwili wielkiego stało. Upojony radością, że spełniają się jego pasieczne marzenia, począł wydawać rozkazy; jednego pchnął do

Kaplicy po kadzielnicę, drugiego po kropidło, względnie szprycę do cieplarni. Gdy jedno i drugie było już pod ręką, skropił rój obficie, potem okadził suto dymem z kadzielnicy; czem pszczoły odurzone uspokoiły się i skapitulowały przed tak uzbrojonym bartnikiem; Ten zaś z całym spokojem i bez żadnej zasłony na rękach i głowie — jakby nie o żądliwe pszczoły, tylko o zrywanie słodkich gruszek chodziło, zgarnywał sobie z gałęzi gołą dłonią pszczoły do koszyka. Wzbudził tem doprawdy powszechny podziw i respekt. Po tej ryzykownej czynności, okadziwszy jeszcze raz uroczyście swoje ofiary zaniósł je w licznej procesji chłopców Zakładu do ciemnej i chłodnej piwnicy — skąd nazajutrz przeniesiono je do ula, dostarczonego z Pawlikowic.

Taki oto jest początek pasieki, do której przybył zamówiony dawniej drugi duży ul z pszczołami. Teraz kolega Piotruś czuje się w swoim żywiole. W pasiece, w cieniu bzów i dalej spędza całe godziny. Pasieka osładza mu ciężkie trawienie „dogmy" i moralnej. Wdzięczy się z miłością do każdej pszczółki — za co też od nich często całowany bywa.

Kronikarz.



Wychowankowie Zakładu św. Józefa w Krakowie na wakacjach w Tyńcu — znoszą drzewo na opał.

Wykaz ofiar złożonych na Zakład sierot w Pawlikowicach.

Wp. Jakubowska Eleonora 15 dol. Wp. Kasper Eleonora 6 dol. Ks. Wawer Franciszek 30 dol., Ks. Woźny Józef 50 dol., Wp. Jezierski Bronisław 10 dol., Ks. Michułka Walenty 50 dol., Ks. Duda Franciszek 15 dol., Wp. Jelonek Marja 5 dol., Wp. Dobrowski 1 dol., N. N. 2 dol.

Ks. Prof. Czaputa Teodor Kr. 20 zł. Wp. Lamers Antoni Kr. 20 zł., Wp. Milerowa 10 zł., Wp. Guzikowski Kr. 20 zł., Wp. Dihm M. Kr. 10 zł., Wp. Bujak M. Kr. 10 zł., Wp. Nowakowska W. 25 zł., Wp. Zimler W. 10 zł., Wp. Buczakowie Kr. 20 zł., W. Ks. Franciszek Duda na nowicjat dol. 10, na Zakład dol. 50.

Wszystkim ofiarodawcom niech Pan Jezus sowicie wynagrodzi w tem i przyszłem życiu. W każdej Mszy św. pamiętamy o naszych Przezacnych Dobrodziejach.

KS. STANISŁAW RYMUZA
Dyrektor Zakładu.

Humor

Okrutni to rodzice, którzy oddają chłopców na pikolaków do restauracji.
— Dlaczego?
— Pikolaki bardzo krótko żyją.
— Skąd wiesz?
— Widziałeś kiedy starego pikolaka?

Na ulicy stoi mały chłopiec i gorzko płacze. Jakaś litościwa dama podchodzi i zapytuje:
— Dlaczego płaczesz, maleńki?
— Ach, proszę pani, to przez artretyzm i reumatyzm.
— Jakto? W tak młodym wieku? To niemożliwe.
Nie wiedziałem, jak się te słowa pisze i dostałem w szkole pałką.

Wyśmienity lekarz.

Profesor do studentów: Moi panowie, rozpoczynam dziś wykład o chorobach. Kiedy człowiek jest chory, natura i choroba stają z sobą do walki. Wtedy przychodzi doktor z kijem i stara się walczących rozbroić. Jeśli trafi w chorobę, człowiek jest zdrów, jeśli w naturę chory umiera.



Gdzie lew?

ARTYSTYCZNE

POCZTÓWKI WIELKANOCNE

Wydaliśmy świeżo w pięciu rodzajach artystyczne, wielobarwne pocztówki wielkanocne.

Każdy nabywca tych pocztówek składa temsamem ofiarę na nasze zakłady sieroce.



Cena pocztówek: 10 sztuk 1— zł. wraz z przesyłką. — Przy większej ilości rabat.

Drukarnia „Powściągliwość i Praca"

Kraków, Kazimierza Wielkiego 95, tel. 166-40.

Adres Redakcji i Administracji:

PAWLIKOWICE, P. WIELICZKA, ZAKŁAD WYCHOWAWCZY

Pod tym adresem należy przesyłać artykuły, sprawozdania, materjały do różnych działów, listy i t. p.

Rękopisów Redakcja nie zwraca, lecz ważniejsze przechowuje.

Prenumerata roczna w kraju zł. 2·20, kwartalnie 60 gr. Cena pojedyńczego egzemplarza 25 gr. — zagranicą 4 zł. p.

Wszelkie w[illegible]ki pieniężne należy przesyłać czekiem do P. K. O. w Krakowie na konto Nr. 404.854.

Wydawca: Zakład Wychowawczy w Pawlikowicach.

Redaktor odpowiedzialny: Ks. Stanisław Kot.